

...kiedy my z Leną byliśmy już na ulicy.

— Za godzinę mamy nocny pociąg do Warszawy. Jeśli ci to nie sprawia różnicy, jedź ze mną. Do „Bazaru” było bardzo blisko. Zdażyliśmy zabrać podróżną torbę Leny, zdażyłem wziąć swoją walizkę, z taksówką nie było problemu, w pół godziny po wyjściu od „Kraka” byliśmy na dworcu. Jeszcze u konduktora udało nam się kupić sleeping. Miał tylko pierwszej klasy. Wspólny.

— Dlaczego to zrobiłaś?
— Co zrobiłam?
— Oni tu przyjechali tylko po to, żeby jutro rano wrócić razem z tobą.

— Właśnie dlatego chcę wrócić bez nich.

— Przestałaś go już lubić?
— Ogromnie go lubię. Właśnie dlatego wolę wracać z tobą.

— A, to przepraszam. W pierwszej chwili nie byłem pewien, czy cię rozumiem.

3.

„Zupełnie jak po pogrzebie. I to w lunaparku”. A potem: „...mam do ciebie prośbę, a mianowicie, żebyś w moim imieniu raz jeszcze podziękował całej ekipie za ich trud i wysiłki dla mojego dobra. I pociesz ich z lekka — są miodzi, jeśli mają poczucie humoru, będą przynajmniej mieć co opowiadać we wspomnieniach, jak to robią moi koledzy teatralni. Gdybym była polskim barankiem, co by im zostało?”

Istotnie, „polskim barankiem” nie była nigdy, nie była nim także w ciągu tych kilku burzliwych dni, spędzonych w Katowicach. List, z którego fragment wyżej, napisała jednak zaraz po powrocie do Warszawy i wysłała jeszcze w tym samym dniu. W tym jest cała Lena. Najdalsza od chęci urażenia kogoś osobiście, ale w pracy bezwzględna, często brutalna. A praca w Katowicach denerwowała ją wyjątkowo, bo była dla niej nowością. Leny nigdy dotychczas nie występowała przed kamerami telewizyjnymi. Ekipa studio przeżywała z nią zatem ciężkie chwile. Cytowane słowa listu miały być tych chwil rekompensacją. A samopoczucie aktorki „jak po pogrzebie w lunaparku”, wyrażało tylko jej „normalny” stan po każdej dłuższej, męczącej premierze.

Nie miałem powodu nie wierzyć, że na tę osobliwą dla niej premierę — bez publiczności, ale przed soczewkami obiektywów — zgodziła się ze względu na łączące nas długie lata przyjaźni. Od „Karocy świętych sakramentów” i od przeciągających się kolacji na Odobrąnskiej upłynęło ich sześć, lecz od pierwszego spotkania z Leną — aż do tego pomyśleć: „szczęście”. Prowadziłem przez w telewizji katowickiej cykl, „Comiesięczny program recitali aktorskich, składający się z trzech fragmentów ról wybranego artysty, prezentowanych kolejno widzom telewizyjnym. I Lena zdecydowała się wystąpić w takim właśnie recitalu.

Bardzo już byłem znieczulony na wzruszenia teatralne, w ciągu ubiegłych lat odziedłem nawet dość daleko od teatralnych zainteresowań, ów cykl programowy prowadziłem raczej z racji zawodowych obowiązków, niż z istotnej, wewnętrznej potrzeby — mimo to, kiedy na próbie w studio zobaczyłem Lenę, bez makijażu, w prostym, zielonym swetrze i szarej spódnicy, stojącą na jakimś przypadkowym podeście i szybko przepowiadającą fragment „Fedry”, kiedy nawet w tym „prze-powiadaniu” dosłyszałem tony, tak dobrze pamiętane z Poznania sprzed lat jeszcze trzynastu (jej późniejszej, warszawskiej „Fedry”, powtórzonej w r. 1957 w Teatrze Narodowym, nie widziałem), kiedy machinalny gest aktorki, której źle upięte włosy opadły na kark, przypomniał mi żywo tamten czas, tamten teatr i tamte wrażenia — poczułem się natychmiast na nowo pod urokiem jej indywidualności i jej sztuki. I właściwie dopiero w tej chwili byłem jej naprawdę wdzięczny, że przyjęła zaproszenie do tego występu.

Oprócz fragmentu „Fedry”, Lena dała wówczas fragment z „Matki Courage” (Song o Wielkiej Kapitula-cji). „Matkę Courage” grała w tym samym okresie w warszawskim Teatrze Narodowym. Dała też fragment z „Kochanego kłamcy”. A więc: Racine, Brecht i współczesny autor amerykański Jerome Kilty. Czy damiętacie „Kochanego kłamcę” Kilty’ego? Ta bardzo oryginalna sztuka opowiadała dzieje dość skomplikowanej miłości Shawa do znakomitej aktorki angielskiej, pani Campbell. Dzieje, odtworzone wyłącznie na podstawie oryginalnych listów, jakie w ciągu wielu lat wymienili między sobą tych dwoje ludzi. Lena grała oczywiście panią Campbell, postać Shawa odtwarzał Władysław Hańcza. W czerwcu, lipcu i sierpniu tego roku (1962) para artystów grała „Kochanego kłamcę” na gościn-

nych występach w wielu miastach Polski.

Ale teraz był wrzesień, bardzo piękny, słoneczny wrzesień. Przywiozłem Lenę i Władka do Katowic, zainstalowałem ich i siebie w hotelu „Monopol”, a na drugi dzień — zaczęło się.

Zacząło się od awantur o dekoracje. Przerażony scenograf onie-miał, po czym, żeby nie wysłuchiwać uwag Leny („uwag” — to jest łagodne określenie) — po prostu zniknął. Zaszył się w jakichś zakamarkach i tyleśmy go widzieli. Wtedy Lena zabrała się do przesuwania mebli, wywracania zastawek, w pewnej chwili chwyciła stojącą gdzieś miotłę i zaczęła własnoręcznie zamiatać podłogę w studio. Podbiegł do niej znany ze swej ry-cerskości kamerzysta, Zygmunt Lubandy, żeby ją w tym wywręczyć, ale nie wiedział, z kim ma do czynienia. Lena odpechnęła go tak, że biedny Zygmunt, jakkolwiek nie przypominał piórka, odrzucił w naj-dalszy kąt studia. Potem już nikt jej nie przeszkadzał w urzędowaniu przy-strzeni gry po swojemu. Urzędziła ją tak, jak chciała. I — jak się potem okazało — miała w tym słuszność.

Kiedy przyszło do opracowywania sytuacji, reżyser programu — po krótkiej dyskusji — poszedł w ślady scenografa. Przez następne dwa dni nie ruszał się z fotela w oszklonej reżyserce, nie odzywał się ani słowem, a kiedy go się o coś zagadnęło, odpowiadał tylko błędnym spojrzeniem. Lena zaczęła opracowywać sytuację po swojemu. Opracowała je, tak, jak chciała, i — jak się potem okazało — w tym także miała słuszność.

Podczas tego wszystkiego Władek Hańcza spokojnie się uśmiechał, ani

na chwilę nie tracił pogody ducha, a od czasu do czasu mówił do mnie wyrozumiałym tonem: „Ja to przeży-wam co wieczór, w każdym nowym teatrze, do którego zajeżdżamy z „Kochanym kłamcą”. Przy-zwyczajłem się.

Jedynym człowiekiem z całej katowickiej ekipy telewizyjnej, który w czasie tych istotnie dramatycznych przygotowań do recitalu porozumiewał się z Leną bez trudu i porozumiewał się z nią ku jej i własnemu zadowoleniu, był realizator wizji, Włodzimierz Gawroński. Wspominam go tutaj specjalnie po to, żeby podkreślić nie tylko jego walory zawodowe (był naprawdę świetnym realizatorem), lecz także jego takt i kulturę, a wreszcie jego osobisty wdzięk; wszystkie te zalety musiały być duże, skoro zwyciężyły w starciu z takim huraganem, jaki w ciągu owych dni uosabiała Lena.

Recital wreszcie się odbył, a póź-niejsze tzw. głosy prasy w zupełności usprawiedliwiły moje twierdzenie, wypowiedziane przed kamerami, zanim jeszcze wprowadziłem Lenę na plan, a mianowicie, że będzie on „świetłem polskiej telewizji”. Ale dla uzupełnienia tego, co napisałem o „uosobieniu huraganu” i o awanturach, wyczynianych przez Lenę w studio, powinienem tu dodać jeszcze parę uwag.

A więc po pierwsze — zdarzyło się, że w którymś miejscu tekstu „Kochanego kłamcy” Hańcza — co może zdarzyć się każdemu — fatalnie się „sypnął”. Utknął w połowie zdania. Wiadomo, co znaczy taka przedłużająca się pauza w teatrze — jeszcze więcej znaczy w telewizji. Kamera natychmiast, bezlitośnie, ujęła samą Lenę. I Lena musiała „haftować”. „Zahaftowała” zresztą znakomicie, lecz ci, którzy jej nie znali, już z góry współczuli Hańczy.

myśląc o tym, co usłyszy od niej po recitalu. Tymczasem Władek usłyszał tylko jakiś dowcip; nikt też nie dostrzegł potem u Leny ani odrobiny żalu do (wybitnego zresztą) partnera.

Po drugie — natychmiast po zakończeniu programu Lena — jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki — zmieniła się zupełnie; stała się dla wszystkich więcej niż uprzejma. Nawet ów zwyrodniały przedtem scenograf i zlekceważony reżyser usłyszeli od niej miłe słowa. A na trzeci dzień — już z Warszawy — przyszedł od niej ten list. Wreszcie, po dalszych kilku dniach, dostałem taką kartkę:

„Czy wiesz o tym, że Andrzej Szczepkowski nagrał na taśmę nasz recital? ...Gdy zapomnę i przestanę się wstydzić mej pracy, jak zawsze — pójdę do nich posłuchać...” Później, po przesłuchaniu taśmy, pisała znowu: „Dziwnie to brzmi — okropnie wolno — mówię „Kłamcę”, przeciągnięte i przeakcentowane... „Matka Courage” — dobry song. „Fedra” — jako tako...”

Ci, którzy pracują z Leną w teatrze, a nie znają jej tak, jak znali ją jej dawni, nieżyjący już, wielcy koledzy, a także ci, którym zdarzyło się pracować z nią w telewizji, skłonni są zapewne przypuszczać, że Lena w absolutnym przekonaniu o swoim geniuszu, zupełnie bezkrytyczna wobec tego co robi, pozwala sobie na wybryki, na traktowanie z góry i lekceważenie ludzi. Ci, którzy znają ją lepiej, wiedzą, że tak nie jest, a przytoczone urywki korespondencji są na to oczywistym dowodem. Lena wcale nie jest przekonana o tym, że jest aktorką genialną, choć naturalnie zdaje sobie sprawę z własnej wielkości. Tym bardziej nie jest bezkrytyczna wobec swojej pracy. Odwrotnie, własną pracę krytykuje najostre, wy-

szukuje jej błędy w maniakalnym niemal zapamiętaniu. Ale kiedy przystępuje do pracy, przystępuje do niej drobniutko przygotowana: przemyślała sztukę, własną rolę i wszystko, co się z tym łączy, znacznie dokładniej i wszechstronnie niż reżyser, nie mówiąc już o innych współtwórcach spektaklu i o partnerach. Ma już gotowy plan własnej gry — jej intuicja, lecz przede wszystkim świadomość artystyczna, wsparta gruntownymi studiami, upewnia ją, że jest to plan jedynie właściwy. Krótko mówiąc, już na pierwszej próbie Lena dokładnie wie, czego chce i — stawia wymagania. Nie znaczy to naturalnie, że w toku późniejszej pracy jej koncepcje i pomysły nie mogą ulec zmianom, często im ulegają — tak dzieje się w każdej pracy artystycznej, także w pracy pisarza, malarza, kompozytora. Lecz w naszym teatrze często jeszcze zdarza się, że ogólna koncepcja spektaklu powstaje dopiero w toku prób, w chaotycznych często poszukiwaniach zespołowych. Tego indywidualności Leny nie potrafi tolerować — stąd częste nieporozumienia, właśnie podczas prób, pomiędzy nią a reżyserem, scenografem, wreszcie reżystą zespołu.

A kiedy dojdzie już do premiery, aktorka bynajmniej nie osiada na laurach. Najczęściej właśnie „wstydzi się swej pracy”, czuje się „jak na pogrzebie w lunaparku”. I jeśli nie jest z siebie zadowolona, nie potrafią jej pocieszyć żadne sławiające ją recenzje. Nawet takie, w których kiedyś czytałem, że Lena jest „równa bogom”. Nie potrafią jej pocieszyć żadne słowa, choć oczywiście lubi, kiedy się jej mówi: „Byłaś znakomita”.

JULIUSZ KYDRYŃSKI